

POWIEŚĆ i NOWELA

*bezpłatny dodatek dla prenumeratorów „Świata”
do N-ru 27-go z dnia 6.VII.1935 r.*

A. ZORICZ

23)

POWIEŚĆ LEKKOMYŚLNA

- Pokochałaś... rudego?...
- Złotego!
- Z piegami?
- Z gwiazdkami!

Spojrzała na niego z macierzyńską czułością i pogłaskała jego twarde, opadające na czoło włosy.

XIV

Tragarze dźwigali wielkie, niezgrabne meble, uginając się pod ich ciężarem. Z postękiwaniem, nie szczędząc sobie wzajemnie dosadnych słówek, znosili po schodach obłupane komody, szafy, kozetki i kanapy, obite wypłowiałą różową tkaniną.

Ogarniając po raz ostatni wzrokiem opustoszały pokój, Ziablikowowa spytała z troską w głosie:

— Nie zapomnieliście niczego? Czy z kuchni wszystko zabrane?

— Wszystko — rzekł Ziablikow, podnosząc ostrożnie palmę: — Na pożegnanie naplułem im jeszcze we wszystkie rondle. Ulżyło mi to trochę. Czy dzieci już zeszły? No, jazda!

Ostatnia wyszła Wiera z walizką w rękę. Czuli, że wynosząc się z Ziablikowymi, przekracza jakąś ostatnią linię demarkacyjną — czuli, że ta przeprowadzka zaciąży na całym dalszym jej życiu. Lecz Żorż żadną miarą nie chciał przystać na to, by pozostała tu bez niego, obawiając się postronnych wpływów. Zresztą i jej samej niezbyt uśmiechało się przebywanie w gronie towarzyszy. Stosunki z każdym dniem stawały się bardziej oziębłe. Wyczuwała ogólną ukrywaną nie-

chęć, złościła się i denerwowała. Stawali się jej coraz bardziej obcy. Prócz tego wydawało jej się, że bez Żorża będzie tu pusto i nieprzytulnie. Lękała się też być teraz ciągle pod okiem towarzyszy.

Żorż zaś, gdy mu zakomunikowała, że nie chce zamieszkać z jego rodziną, wynajął jej oddzielny pokój, i umeblował go pierwszorzędnie. Gdy weszła tam pierwszy raz, powiedziała, że pokój jest bardzo miły. W duchu pomyślała, że na każdym kroku ma dowody jego troskliwości.

Po krótkim wahaniu zdecydowała się na ten stanowczy krok, rozumiejąc całą jego doniosłość. Jednocześnie starała się wmówić w siebie, że właściwie nic się nie stało, że niema nic zdrożnego w tem, że pokochała go i chce być z nim razem; że wreszcie kwestja mieszkania tu, czy tam, to kwestja — czysto formalna, nie mająca nic wspólnego z istotą rzeczy.

Wychodząc z pokoju, natknęła się na Tanię. Zatrzymały się obie w milezeniu zażenowane.

— Wyprowadzasz się? — spytała wreszcie Tania.

— Tak! A bo co? — odpowiedziała Wiera tonem wyzywającym.

— Nic. Żegnaj! Żałuję, że będzie mniej o jednego komsomolca.

— Czy to ma być groźba? Może postawicie na zebraniu wniosek o wykluczenie mnie z komso-mołu?

— Nie. To zbyt ciężkie. Odejdiesz sama...

Zaledwie zamknęły się drzwi za Ziablikowymi, a już po całym mieszkaniu uwijać się zaczęli komsomolecy, uzbrojeni w kubły, ścierki i szczotki. Otwierali naoscięż wszystkie drzwi i okna, nie licząc się z przeciągami. Tegoż dnia miała

się odbyć uroczystość obłania nowego locum. Goście mieli się zaraz zebrać, i komсомолы chcieli im zaimponować czystością swej słynnej już w całym domu komuny. Zawzięcie szorowali i wycierali wszystko, zaglądając do wszystkich kątów i zakamarków. Zdawało się, że wraz ze śmieciami wymiatali resztki tego ohydneho ducha, powiew, który wnieśli tu Ziablikowowie. Ozdobili kwiatami parapety okien i schody wiodące na taras. Zapach kwiatów roznosił się po całym domu. Podłogę pokryto dywanikami, u okien zawieszono firanki, porozszywane ludowymi niciankami. Na ścianach ukazały się kawałki jaskrawych tkanin. Rozstawiano w ogólnych pokojach lekkie, koszykowe, niekurzące się meble. Mieszkanie z każdą chwilą stawało się miłsze i weselsze.

Tania zarumieniona z podniecenia snuła się po pokojach, jak mistrz ceremonji podczas parady. Ponieważ miała dużo gustu, otrzymała na mocy ogólnej milczącej zgody prawa dyktatorskie.

— Jakże piękne są te jaskrawe kolory! — mówiła oglądając z satysfakcją swe dzieło, a jej zagięte ku górze rzęsy zatrzepotały radośnie. — Nieprawdaż chłopcy? Zastanawiam się nad tem, dlaczego nasze pokoje były dotychczas zawsze takie bezbarwne? Szare jakieś, ponure...

— Upiory przeszłości! — gdzieś zwysoka spod sufitu rzucił uwagę Wieszka.

Siedząc po turecku na desce swego elektrycznego dźwigu W. Z. D. 7 bis, przeciągnął wzdłuż ściany sznury do gramofonu własnej konstrukcji. Gramofon miał być połączony ze wzmacniaczem i, według zapewnień Wieszki, mieszkanie będzie miało koncerty, nieustępujące w niczem Filharmonji.

Michiejew po chwili namysłu odrzekł na pytanie Tani:

— Dlatego były takie szare, że niema czasu na te rzeczy. Mamy za dużo pracy. Jesteśmy przemęczeni.

— Otóż właśnie dlatego, że jesteśmy przemęczeni, powinniśmy mieć dobry odpoczynek i wesołe, ładne mieszkanie. To dodaje sił. Wogóle często myślę: Kraj nasz jest młody, my sami jesteśmy młodzi, — życie mamy przed sobą... Powinniśmy się cieszyć, śmiać... A tymczasem chodzimy pochmurni, żyjemy, jak starcy. Dlaczego tak jest?

— Widać, na wszystko nie wystarczy sił — powtórzył swoje Michiejew.

— Nie, — odrzekła Tania. — Poprostu nie umiemy żyć. Nie myślimy o tem wcale. Przecież, niech tylko ktoś z nas bąknie, że należy jakoś ładniej urządzić mieszkanie, wnet wszyscy rzucają się na niego: „to są głupstwa, teraz nie czas na to; takie rzeczy trzeba odłożyć na później“. A tymczasem wcale tak nie jest; to nie głupstwo, tego nie należy odkładać na później, — już choćby dlatego, że to niezbędnny warunek wydajności pracy. To dodaje energii, radości, zapału. Co do mnie, nie zgadzam się na życie w ciemnym lochu. Chcę słońca i wesela, śmiechu!

— Racja — odezwał się z góry Wieszka: — dobrze jest śmiać się. Ze śmiechu człowiek tyje. A w czasie panowania socjalizmu ludzie nie powinni wyglądać, jak tyczki.

Zaczęli marzyć o tem, jak to teraz, po wyprawadzeniu Ziablikowych pięknie urządzają nowy dom, jak będzie przyjemnie pracować i dobrze wypoczywać po pracy. W ten sposób ani jedna

chwila życia nie będzie zmarnowana, — wszystkie nabiorą sensu i będą wypełnione po brzegi radością.

— Hurra Taniuniu! — krzyknął z góry Wieszka, kręcąc radośnie kosmyki włosów. — Dzisiaj o godzinie ósmej wieczorem zaczynamy nowe życie!

Do sali wszedł stary Fiedosiejew. Z widocznym zadowoleniem oglądał porozwieszane na ścianach, przyozdobione zielenią klatki. Tania podeszła do niego, mrugając znacząco oczyma.

— Dziadku! — spytała — czy macie słowiki?

— Jest jeden — rzekł stary — ale nie śpiewa, wiesz przecież.

— A dlaczego nie śpiewa?

— Przecież ci już sto razy tłumaczyłem.

— Nie wiem... Powiedz jeszcze...

— Przedewszystkiem słowik śpiewa tylko w nocy. Bo, widzisz, kiedy śpiewa, to zamyka oczy — taka już jest jego natura. A skoro ma oczy zamknięte, każde złe ręce mogłyby go schwytać, — nie zobaczyłby... Dlatego też czeka nocy, aby go nikt nie dostrzegł. Ale najważniejsze, że samotnie śpiewać nie może. Lubi towarzystwo; lubi, żeby go drugi słowik słuchał. A skąd wziąć drugiego, kiedy są takie drogie? Zresztą wcale ich dostać nie można.

— Aha! — rzekła Tania, jakby teraz dopiero zrozumiała, o co chodzi, chociaż staruszek już sto razy jej to wszystko opowiadał. Nagle wyjęła z za fotela nową klatkę z wikliny.

— A myśmy tu dla ciebie przyszykowali podarunek, dziadziu, — na nowe mieszkanie!

Stary spojrział, i — wzruszony okrutnie, — zaczął się kręcić wkółko, człapiąc filcowymi butami. Rumieniec pokrył twarz jego, okulary spadły na nos.

— Słowik! — zawołał w najwyższej radości — wołyński! I pióreczka! I dziobek! Głowę daję, że to wołyński! Skądżeście go wytrzasnęli?

— Towarzysze przywieźli z Ukrainy.

— Dziękuję! — rzekł staruszek, głęboko wzruszony i, ujawszy dłońmi jej głowę, ucałował ją. — Dziękuję. Sprawiliście mi dużą radość. Zaraz powiesimy ich naprzeciwko siebie. Może urządzią zawody... zobaczymy, który śpiewa lepiej...

Podniósł klatkę i zawiesił ją na ścianie. Przez jakiś czas słowiki przyglądały się sobie w milczeniu. Potem jeden ostrożnie i niepewnie — jakby nie wiedząc, czy to wypada — wydał kilka tonów, lecz natychmiast umilkł. Drugi słuchał go z główką przechyloną nabok. Po chwili ciszy przymknął oczy i nagle zaczął śpiewać pełnym głosem, — dźwięcznie, radośnie...

— Zaśpiewały — wyszeptał z zachwytem stary. — W biały dzień! Widocznie nie czują blisko złych rąk! Nie mamy już w mieszkaniu złych ludzi!

Wieczorem zebrali się goście. Przyszli komсомолы z całego domu i towarzysze Wieszki i Tania z fabryki. Tłumnie i gwarnie było w mieszkaniu. Okrągła sala zalana światłem elektrycznym, pełna świeżego powietrza, była przedmiotem ogólnego zachwyty.

Zaniepokojony gwarem, dobiegającym z góry, zjawił się rządcą domu. Miał ból głowy, — prawdopodobnie po wypiciu większej porcji alkohola.

lu, — i przyciskał palec do skroni. Rozejrzał się dookoła zaspanym wzrokiem i zapytał obojętnym głosem:

— Co to? Oblewacie nowe mieszkanie?

— Tak, — odrzekła Tania, — chcemy się pobawić. Chyba instrukcja nie zabrania bawić się w mieszkaniu.

— Nie. Powiedziane tylko: „nie wolno tłuc szkła ani przedmiotów brzęczących“.

— A jakie to są przedmioty brzęczące? — zapytała Tania.

— Puste w środku.

— Więc dlaczego się pan już trzyma za głowę? Jeszcze nie zaczęliśmy się bawić.

W tej chwili do sali wszedł inżynier. Wbrew swoim zwyczajom, nosił płócienną bluzę z paskiem, Tania od razu zwróciła na to uwagę.

— Otóż i ja jestem, — powiedział, uśmiechając się nieśmiało.

— Bardzośmy panu radzi, — odpowiedziała Tania, wyciągając do niego rękę. — Ale co znaczy ten strój? Gdzie się podział elegancki garnitur panna?

— Tak jakoś wygodniej...

Tymczasem Wieszka skończył z gramofonem i, zwracając się do obecnych, poprosił o głos.

— Towarzysze! — zaczął spod sufitu, gdzie siedział na swoim znakomitym dźwigu, — ze stanowiska marksistowskiego...

— A czy porządek dzienny został zatwierdzony? — zapytał z tłumy długonogi komsomolec.

— ...na podstawie materializmu dziejowego...

— Ograniczyć czas przemówień! — zawołał ten sam komsomolec.

— ...i biorąc za punkt wyjścia metodę dialektyczną, — zapytuje was, towarzysze: czy tańce, jak zabawa, powinny być dozwolone w okresie bu-

dowy socjalizmu Głosujemy! Kto jest przeciw? Nikt. Kto jest za? Wniosek przyjęty jednogłośnie!

...Nowy dom stoi na wzgórzu nad stawem miejskim, — i wspaniałe, surowe, pełne prostoty linje oraz setki światełek, zapalanych wieczorem, odbijają się w lustrzanej powierzchni wody, od której wieje przyjemnym chłodem.

Wydaje się, że dom przegląda się w olbrzymiem zwierciadle, zachwyca się sobą i zaprasza przechodniów, aby przystanęli na chwilę i rzucili okiem na piękne, nieskazitelne kontury.

Nowy dom stoi na wzgórzu, tonąc w zieleni młodego, lecz cienistego ogrodu. Gałęzie bzu i czerechy i pnące lodygi chmielu i nastureji zaglądają do okien i rozlewają w pokojach upajającą woń kwiatów.

Nowy dom stoi na wzgórzu, i lekkie wiatery, pieszcząc, muskają go ze wszystkich stron, słońce złoci jego błyszczący dach, a szklane ornamenty na górnych tarasach pobłyskują wszystkimi kolorami tęczy.

Nowy dom patrzy na świat dziesiątkami szerokich lustrzanych szyb, przez które napływa prąd świeżego powietrza, — a potoki światła zalewają każdy najdalszy kącik mieszkań.

Nowy dom świeci białością farby okien i drzwi, płomienną miedzią armatury przy lampach i niezrównanym blaskiem froterowanych posadzek. Nowy dom jest czysty, piękny i pełen smaku, — bije od niego rzeźkość, radość, wesele, — i zdaje się, że za temi jasnymi oknami, za tą świeżą, pachnącą zielenią nie zostało nic z tego, czem ludzie dawniej zatruli sobie istnienie, — że tworzy się tutaj krzepiące, pełne zdrowia i szczęścia nowe życie...

K O N I E C.

(Przekład H. Winawerowej).

ŻYCIORYS ANTONIEGO MAZGAJSKIEGO

Poniżej zamieszczamy dalszy ciąg wspomnień p. Antoniego Mazgajskiego, funkcjonariusza Prokuratury Generalnej, których druk rozpoczęliśmy w przeszłym numerze. Dokończenie pamiętnika, doprowadzone do momentu odzyskania niepodległości, zamieścimy w następnym numerze.

Zaczęło się nowe życie, nowa tułaczka. Wszystko trzeba było zaczynać od początku.

Zacząłem pracować w „Gońcu“. Gazeta ta była własnością hr. Maurycego Zamoyskiego. Pracowałem tam jako woźny.

Mniej więcej w tym czasie odbył się zjazd w Warszawie możnych panów — obywateli ziemskich i fabrykantów. Długo, bardzo długo radzili, wreszcie orzekli: „trzeba narodowi ulżyć, dość się już nacierpiał“.

Fabrykanci zgodnie orzekli, że trzeba dać robotnikowi większą zapłatę i trzeba skrócić dzień pracy; także liczne ustępstwa ze swej strony uchwalili ziemianie.

Zebranie trwało jeszcze dość długo, wreszcie wszyscy rozjechali się, a ja długo jeszcze siedziałem i odbijałem na szapirografie sprawozdania ze zjazdu, które później tak niezmiernie przydały mi się.

Tymczasem w „Gońcu“ orzeczono, że szkoda marnować tak dzielnego człowieka i postanowiono dać mi jakąś pracę.

Oddano mi wtedy Wolę, wówczas zwaną „krwawą“, i tu miałem pracować wśród tego zbrukanego społeczeństwa i śiać wśród ludzi miłość do Ojczyzny i zrozumienie Jej sprawy.

Grunt był ciężki i nieurodzajny, ale od czego ręce, praca i dobre chęci.

W okolicy dzisiejszej Młynarskiej (dawniej wieś Koło), mieszkali przeważnie sami garbarze. Robotnicy ci cierpieli okrutnie, bo oto w każdą sobotę gdy wracali z wypłatą do domów, napadały na nich specjalnie w tym celu zorganizowane szajki złodziejskie, zabierając nietylko pieniądze, ale ciężko nieraz turbując ludzi.

Garbarze uciekli się do policji o pomoc, ale tu radzono im, by sami wymierzali sobie sprawiedliwość nad złodziejami.

Wówczas urządzono obławę. Robotnicy obsadzili posterunkami całą okolicę i każdy musiał się legitymować. Gdy zaś zauważono osoby wracające z miasta, te musiały poddać się rewizji. Inni znów przeprowadzali rewizję w podejrzanych mieszkaniach i tu znaleziono wiele zrabowanych

rzeczy. Całe worki mąki, ryżu i w. in. tam znajdowano. Znalezione przedmioty i towary, co do których mieliśmy podejrzenie że są skradzione, znosiliśmy na mały placyk. Właściciele mieszkań tych, po otrzymaniu porządnego lania, zostali zamknięci w lodowni browaru na Obozowej. Towary zaś, które złożyliśmy na placu, zostały w większości rozebrane przez prawowitych właścicieli.

Na drugi dzień po tej obławie policja zabrała „mieszkańców“ browaru; było ich kilkudziesięciu.

Jednak ci aresztowani pozostawili swoją rodzinę czy kamratów, którzy mścili się teraz na nas, jak tylko mogli. Narazie zdawało się, że te zemsty, to poprostu żarty i śmiechy, ale popłoch padł na ludność, gdy „mściciele“ zamordowali dwóch garbarzy. Dwie ofiary zemsty, a kto wie, ile takich ofiar może być jeszcze.

Nie ominęli i mnie. Otrzymywałem coraz częściej listy z pogrózkami.

Niewiadomo jakby to się skończyło, gdyby nie pewien fakt. Otóż pewnej nocy w magazynach naftowych na Powązkach dokonano kradzieży. Ktoś zaalarmował policję. Wkrótce przyjechało do magazynów kilkunastu policjantów. Po załatwieniu tu wszelkich formalności, policjanci wracali do domów, kierując się w stronę Woli.

Tymczasem z przeciwnej strony zbliżało się kilku ludzi. Ich niepewne zachowanie i podejrzany wygląd zaintrygował policjantów, którzy otoczyli przechodniów i zaczęli wypytywać o to i owo. Podejrzenie policjantów rosło szybko, wreszcie jeden z nich poznał osławionego złodzieja. Niezwłocznie całe towarzystwo zostało aresztowane. Przy rewizji znaleziono broń, okazało się, że to są „mściciele“, którzy właśnie szli mnie zamordować. Tak więc dziwnem zrządzeniem losu uniknąłem śmierci.

I tak powoli uspokoiło się na Woli. Została ona oczyszczona od niebezpiecznych szumowin.

Wkrótce znów nastąpiła epidemia strajków. Zaczęły one wybuchać po różnych wioskach i folwarkach w okolicach Warszawy.

Pchano mnie wtedy od folwarku do folwarku, a ja, jak mogłem, godziłem poważniejszych. I teraz niezmiennie przydały mi się te sprawozdania ze zjazdu ziemian i fabrykantów w Warszawie. Gdy nie chciała ani jedna, ani druga strona ustąpić, pokazywałem wtedy to sprawozdanie i poprostu żądałem nieraz od zbyt butnych panów, by na mocy tego sprawozdania ustąpili. Tak samo sprawozdanie to łagodziło nienawiść robotników, bo świadczyło o dobrych chęciach panów.

Wróciłem do Warszawy. Tu czekał na mnie nowy rozkaz. Miałem udać się teraz w okolice Jęziorny, gdzie wybuchły też strajki, przybierające nieraz groźne rozmiary.

Pojechałem. Za najpierwsze uradziliśmy z właścicielami folwarków, w jaki sposób mam działać. Ponieważ nie znałem tamtejszych okolic ani stosunków, przeznaczono mi odpowiedniego jako by przewodnika.

Udaliśmy się najpierw do folwarku zw. „Obory“. Zapadł już wieczór, gdy przybyliśmy tam. Czułem jakąś wrogą atmosferę w tym folwarku i nie chciałem w nocy zaczynać pracy, a znów szkoda mi było czasu. Ale z kłopotu wybawił mnie przewodnik, który oznajmił, że zaraz jest drugi

folwark. Udaliśmy się tam i tu było znacznie miłej. Postanowiłem odrazu działać.

Udałem się więc do rządcy i jemu przedłożyłem całą sprawę, a ten kazał udać się znów do ekonomy i ten żeby zwołał ludzi. Ekonom nie chciał i dopiero jak zagroziłem mu kijem, ruszył się, by zwołać chłopów.

I wkrótce zaczęły zbierać się mniejsze i większe gromady zaciekawionych wieśniaków.

Zacząłem się ich zaraz wypytywać: dlaczego strajkują? co mają za krzywdę? Lecz nie nie pomogły moje wywody — ludzie milczeli.

Nie wiedziałem, co mam czynić, gdy wtem odezwał się kobiecie śmiały głos. Nieznana wieśniaczka tłumaczyła, że dlatego kobiety strajkują, bo im zbyt mało płacą od dojenia krów. Mówiła, że mają płatne po 4 ruble, a chciałyby 5 i dlatego strajkują.

Nie zwlekając, udałem się ponownie do rządcy i wytłumaczyłem mu, o co chodzi, przyczem nadmienilem, że wieśniaczki chcą nie 4 a 6 rubli. Rządca zapewniał, że gdyby wiedział, o co się rozchodzi, sprawa byłaby już dawno załatwiona, ale z chłopami wprost nie można się dogadać. Ludzie jeszcze się nie porozehodzili, więc rządca zaraz wyszedł i oznajmił, że zgadza się na żądanie ludu i będą mieli płace podwyższone.

Nazajutrz, gdy tylko życiodajna tarcza słońca wychyliła się z obłoków, ludność ochoczo ruszyła do pracy.

Rankiem wyruszyłem zpowrotem do folwarku „Obory“. Byłem trochę zaintrygowany, gdy na drodze, wiodącej do folwarku, ujrzałem nieruchomo stojącą postać, która jakby kogoś oczekiwała. Jeszcze większe było moje zdziwienie, gdy poznałem w tej osobie hrabiego, właściciela tego folwarku. Hrabia oczekiwał na mnie.

Wiadomość o stłumieniu strajku przeze mnie już rozeszła się, a hrabia zwrócił się do mnie z gorącą prośbą, żebym uśmierzył i tu strajk, który przybrał groźne rozmiary.

Droga do folwarku była bardzo błotnista i ciężka, hrabia jednak pożyczył mi małego wózka, zaprzężonego w konia, tak, że szczęśliwie dojechałem do folwarku. Uwiązałem konia do drzewa, a sam skierowałem się ku głównemu dziedzińcowi. Zdziwienie moje było wielkie, gdy ujrzałem na dziedzińcu gromadę chłopów, którzy z groźnemi minami obrabiali i robili jakieś przedmioty, których narazie zdaleka nie mogłem odróżnić. Ich twarze były przytem bardzo tajemnicze.

Zbliżyłem się i mówię: „Pochwalony Jezus Chrystus, szczęść Boże“. A chłopci, ponuro patrząc z podęb, milczeli. Wreszcie jeden odezwał się: „Psiakrew, gadał sobie z hrabim, namówił się z nim, jak panicz przyjechał powozem i chce nagaaniać nas do roboty“. Zwrócił się do reszty i zawołał: „Chłopcy, bierzta siekiery, nie puścimy go żywego“.

Poprostu zbaraniałem, ale nie straciłem przytomności. Tymczasem chłopci z groźnemi i napół dzikimi twarzami obścapiłi mnie zwartem kołem. Każdy ścisnął w garści siekiere, której ostrze połyskiwało w słońcu, jakby drwiąc ze mnie. Ogarnąłem wszystko wzrokiem, jak strzały przełatywały mi myśli po głowie — krew, śmierć, trup; o, nie! — chciałem żyć, Ojczyzna mnie je-

szcze potrzebowała, mogłem jeszcze wiele dla Niej zrobić.

Długo się nie namysławiając, wyciągnąłem z kieszeni różaniec, z którym nigdy się nie rozstawałem. Przyczepiony był przy nim dość spory czarny krzyżyk, na którym smutnie, ale z wielką miłością i przebaczeniem, pochylał głowę Ten, który tak bardzo umiłował lud. Podniosłem krzyżyk do góry i zawołałem: „Bracia, wy na mnie z siekierami, a ja na was z krzyżem; kogokolwiek dotknę tym krzyżykiem, padnie zaraz trupem“.

Udawałem więc jakiegoś maga, czy czarownika, bo znałem ten ciemny, zabobonny tłum.

Chłopi zaczęli z jakąś dziwną trwogą cofać się, a ja rozsypałem ziarenka różańca naokoło siebie i korzystając z przestachu chłopów, zacząłem mówić. Mówiłem długo i szybko o Chrystusie, o miłości bliźniego, wreszcie o strajku. Mówiłem i pakowałem do ponurych głów chłopskich trochę światła, jak tylko mogłem. Wtem wypadł rzadca i leciał, wołając: „Słuchajcie, moje dzieci, tego człowieka, bo go Bóg sprowadził, przeprosicie go teraz, bo obrażiliście go“.

Chłopi stracili na minie, stali niezdecydowani, nie wiedzieli, co mają robić. Wprost zmienili się w okamgnieniu, stali się usłużni i czuli. Chcieli od razu iść do pracy, ale wstrzymałem ich i radziłem, by jutro poszli. Pozostałem do następnego dnia. Długo w noc rozmawiałem z ludźmi, którzy porzuciwszy swe groźne maski, stali się bardzo mili i dobrzy.

Raniutko, żegnany ze wzruszeniem przez chłopów, odjechałem do Warszawy, gdzie znów do stałem nową robotę.

Wkrótce zostałem wysłany do cukierni „Leśmierz“, by tamtejszą ludność namówić do utworzenia kooperatywy. Wszystko poszło dobrze i mogłem wkrótce powrócić do Warszawy.

I tu znów zaczęły się dni nowej pracy. Rozpoczęła się teraz walka o szkoły. Chodziło o wprowadzenie do szkół, (szczególnie chodziło tu o szkoły wiejskie) języka polskiego, który był zupełnie wykorzeniony przez rząd zaboreczy.

Walka była ciężka i niebezpieczna, a w dodatku, zacięty nieraz opór stawiali nauczyciele i sam naród.

Chodziłem od szkoły do szkoły. Zwracałem się do ludzi. Mówiłem do nich jak mogłem i umiałem, żeby im przedstawić, jak groźna będzie dla nas chwila, gdy zapomniemy własnego języka. Cóż będziemy wtedy warci?

Zwracałem się do nich z prośbą, żeby wszędzie, gdzie się tylko da, mówili po polsku i przez to podkreślali swą narodowość. Zwracałem się także do księży, żeby wszelkie akta czyto małżeńskie, czy śmierci wydawali po polsku, a nie, jak było dotąd, po rosyjsku.

Przeznaczono mnie na powiat warszawski i tu walczyłem o język polski.

Pewnego dnia, wczesnym rankiem, wyruszyłem w stronę Zaborowa. Wstępowałem po drodze do zagród, szkół i tu mówiłem dużo do ludzi. Namawiałem ich, żeby dzieci swe uczyli po polsku, bo przecież to ich ojczysty język.

W Zaborowie spędziłem kilka dni. Powrotna nasza droga szła przez Babice, ale okazało się że zjechało tam dużo Rosjan. Nie chcąc narazić się na tak „miłe“ spotkanie, postanowiliśmy okrążyć Babice (ja i mój przewodnik). Natknęliśmy się

na jakąś drogę, którą szybko ruszyliśmy w kierunku Warszawy. Zdawało się nam, że unikniemy tego „miłego“ spotkania. Przy drodze tej jak stary grzyb przykucnęła karczma. Nie zwracając na nią najmniejszej uwagi szybko posuwaliśmy się naprzód. Tymczasem z za brudnych szyb starej karczmy śledziły nas chytre oczy żandarmów. Widocznie nie podobał im się nasz zbyt szybki marsz, bo wybiegli z karczmy i zaczęli nas gonić. Czuliśmy zbliżające się niebezpieczeństwo.

Wtem groźne — „stój!“ Nie mając innego wyboru, stanęliśmy, oddając się w opiekę Bogu.

Zaczęła się rewizja. Rewidowali najpierw mego przewodnika. Ja czekałem z boku. Położenie moje było ciężkie, bo miałem przy sobie wiele odezw, które groziły mi ciężką karą, gdyby je znaleziono. Nie wiedziałem, co robić.

Ale wpadłem na pomysł, zdawałoby się naiwny i sam przypuszczałem, że żandarmi nie złapią się. Wiedziałem, że pomysł mój był chwytaniem się brzytwy przez tonącego. Otóż z niewinną miną, grzecznie poprosiłem żandarmów, by pozwolili odejść mi na chwilę za swoją potrzebą.

Żandarmi, którzy widocznie podejrzewali więcej mego przewodnika, ku mej radości i zdziwieniu pozwolili mi odejść. Ruszyłem szybko za pobliskie drzewo i tu w gorączkowym pośpiechu zakopałem niebezpieczne papiery w śnieg i wróciłem.

Mego towarzysza zrewidowano już i nie przy nim nie znaleziono. Zaczęto teraz mnie rewidować. Byłem spokojny, przecież zakopałem wszystkie odezwy. Ale nie można wprost sobie wyobrazić mego zdziwienia i przestachu gdy żandarm dziko chichocząc wyciągnął z mej kieszeni odezwę. Dla niego było to wielką zdobyczą, dla mnie — śmiercią.

Teraz dopiero przypomniałem sobie, że odezwę tę zawiniętą w „Kurjer Warszawski“ włożyłem do kieszeni i zapomniałem o niej.

Żandarm wyciągnął tylko odezwę, kurjer zaś pozostał w kieszeni, wtedy wyciągnąłem kurjer i powiedziałem „weź pan i to“.

Zebrała się zaraz gromada ludzi, którzy gorliwie protestowali, nie dawali nas aresztować, ale żandarm nie słuchał. Związano nas postronkami, odprowadzono do gminy Blizna i tu wsadzili nas na noc do kozy.

Czuliśmy nad sobą groźne niebezpieczeństwo, wiedzieliśmy, jak ciężkie kary za takie „przestępstwa“ stosują ci carscy „rycerze“.

Mój towarzysz był tak zrozpaczony, że wreszcie postanowił przyznać się od razu do wszystkiego, aby go nie męczono w sądzie temi ciągłymi pytaniami, które doprowadzić nieraz mogą do obłędu.

Perswadowałem długo swemu towarzyszowi, aż wreszcie postanowiłem wziąć całą winę na siebie, a on niech tylko milezy, niech nie mówi.

Następnego dnia przed wieczorem sadziliśmy już na Pawiaku, każdy w osobnej celi.

Dzień był możliwie spokojny, ale w nocy żandarmi co chwila włączili do celi, coś badali, oglądali, licho wie co.

Przesiedzieliśmy tak cztery tygodnie. W czwartym tygodniu przyjechał prokurator i ten wziął nas na spytki. Pytał się mnie po rosyjsku, czy mam świadectwo mojej winy, ale ja udałem, że nie rozumiem i prosiłem go, żeby mówił po polsku. Zaczął wtedy mówić po polsku i wypytywał mnie się,

za co siedzę. Zrugał żandarmów, że trzymają ludzi bez jego wiedzy i odjechał.

Zwleczono jeszcze tydzień i dopiero sprawa potoczyła się na dobre.

Tego tygodnia jednak nie zmarnowałem. Otóż uczyłem się, w jaki sposób mam zeznawać na śledztwie, żeby się nie jakać, nie płatać i w ten sposób nie budzić podejrzeń.

Wreszcie przyjechał pułkownik żandarmerji i ten wziął nas na śledztwo.

Mój kolega poszedł pierwszy. Nie przyznał się do niczego i ponieważ nie przy nim nie znaleziono, wypuścili go zaraz. Później poszedłem ja. Pytał mnie się ten pułkownik, skąd mam tę odezwę. Ja mówię, że znalazłem.

— „Szliśmy przez drogę, mój kolega szedł pierwszy, ja za nim. Zobaczyłem jakąś paczkę pod płotem, szybko ją podniosłem i schowałem do kieszeni, nie mówiłem nic towarzyszowi, bo myślałem, że w tej paczce są pieniądze.

Pułkownik niedowierzał i zaczął się wypytywać — „może kto dał te odezwy, np. ktoś z inteligencji“.

Udając greka mówię: „panie naczelniku, inteligencja brzydzi się robotnikiem, bo ten chodzi posmarowany, brudny, a inteligent jest zawsze

elegancki i dlatego nie chce on mieć nic wspólnego z robotnikami. Nie znam żadnych inteligentów, a odezwę znalazłem“.

Kręcono mnie na wszystkie strony i kołowano, ale ja trzymałem się chwacko, nie zdradziłem się ani jednym słówkiem.

Wreszcie prokurator zaczął grzebać w aktach, czegoś szukać, sam chyba nie wiedział czego, czułem, że nie wie, co ze mną zrobić.

— „Zwalniam was“ — wyraził te zabrzmiąły mi w uszach jak najpiękniejsza muzyka, jak najwspanialszy hymn wolności. Byłem wolny!

Kowalskiego (mego towarzysza) zwolnili wcześniej, ale trzymali go, „na wypadek“, a teraz wypuścili i jego. Spotkaliśmy się na ulicy. Postanowiliśmy iść do znajomego księdza na Dzielną, by dał nam co zjeść, bo głodni byliśmy okrutnie, a w kieszeni ani grosza. Wizyta u księdza udała się wspaniale. Wkrótce znaleźliśmy się w swych dawnych mieszkaniach, powróciliśmy do przerwanych chwilowo życia.

Zaczęła się znów praca dla Teji, którą serce moje ukochało ponad wszystko.

W tym czasie dużo mieliśmy do czynienia z zakazaną bibułą.

WŁADYSŁAW MART

POWRÓT*)

W pociągu przepelnionym reemigrantami wracał Jaracz po trzech latach pobytu w Moskwie i Kijowie do Warszawy. Wraca do kraju, jak wielu innych, pełen ciekawości i niepokoju, tęsknoty i żądy czynu. Teraz, myśli, zrealizują się wszystkie marzenia o nowym teatrze. Wierzy, że rozpocznie się okres twórczej pracy reformatorskiej, że zdobyte doświadczenie i wiedza będą mogły być dla tej pracy w pełni zużytkowane. Z ufnością oczekuje wprowadzenia w czyn tych projektów i zapowiedzi, które krystalizowały się w toku niezliczonych rozmów o sprawach teatru. Wspomina z nadzieją marzenia, snute wspólnie z Osterwą i rzeczowe zapowiedzi Szyfmana.

W drodze do kraju rzucają mu się w oczy jaskrawe oznaki wyraźnego rozkładu potęgi niemieckiej. Zdumiewa go podoficer niemiecki, biorący łapówki od tych, którzy nie mają dokumentów w porządku. Poznał dobrze środowisko niemieckie podczas swego kilkuletniego pobytu w Poznaniu i wydaje mu się zupełnie niewiarogodną ta przekupność niemieckiego podoficera. Błyska mu myśl, że chyba z Niemcami jest już bardzo źle i że oni pewnie przegrają tę wojnę.

Warszawę zastaje pogrążoną w ciemnościach. Jest 9-ta wieczór, a na ulicach zupełny mrok. Latarnie ledwie się palą, lecz nie świecą. Przed dworcem następująca scena: niemiecki żołnierz w pikielhaubie, z karabinem opatrzonym w bagnet, rozpędza grupkę nędznie odzianych ludzi, klnąc przytem straszliwie. Pierwsze wrażenia nie są zbyt

miłe. Na ulicach pusto, zewsząd tchnie opuszczeniem i nędzą. Tu i ówdzie rozlegają się głuche uderzenia drewnianych buciurów o asfalt; dopełnia to smutnego obrazu. Dzień następny nie rozjaśnia ponurych cieni. Widać jasno, że niemiecka okupacja wyniszczyła stolicę i jej mieszkańców. Trzeba jakoś zorganizować życie. Ktoś z przyjaciół wprowadza Jaraczów do „mamy“ Skrzypek, która w dobrze znanym warszawskim sferom artystycznym mieszkaniu na Nowym Świecie wydaje skromne „okupacyjne“ obiady.

Pierwszego wolnego wieczoru idzie Jaracz do teatru. W „Rozmaitościach“ dają „Profesora Storicyna“. Główną rolę gra wprowadzić dobrze Junosza-Stępowski, ale całe przedstawienie zdumiewa prymitywną szmirą. Po szczytach inscenizacji i wykonania teatrów rosyjskich, Jaracz przerażony jest niskim poziomem pierwszej sceny warszawskiej.

Zaraz po powrocie do Warszawy, a właściwie natychmiast po zajęciu Kijowa przez Niemców, powinien być się Jaracz, jako austriacki poddany, zgłosić do wojska. Nie spieszył z tem jednak. Wy-czuwało się w powietrzu jakieś decydujące wydarzenie. Niemal z godziny na godzinę oczekiwano radykalnego zwrotu. Kolos niemiecko-austriacki trzeszczał w więzaniach. Pewnego ranka, wyszedłszy ze swego mieszkania na Wileczej, uderzony został niezwykłym nastrojem ulicy. Zdarzyło się chyba coś niezmiernie ważnego. Na ulicy stały grupki ludzi, żywo dyskutując. Na Marszałkowskiej zagroził Jaraczowi tłum zgromadzony przed afiszem. Stał i on.

*) Rozdział z monografii o Stefanie Jaraczu.

W jednym mizernym plakacie zamknięte było urzeczywistnieniem marzeń szeregu pokoleń: w odezwie do narodu rząd lubelski ogłaszał Niepodległość Polski. Jaracz długo czytał niewielki plakat, litery zaczęły się zlewać, oczy przesłoniła wilgotna mgła. Zwracał uwagę tłum, więc szybko ruszył w kierunku dworca. Przez głowę przewalały się skłębione myśli i obrazy. Nagle pustka w głowie i sereu i pytanie:

— Więc Polska jest? Cóż my teraz będziemy razem robili?

Wielu aktorów, reemigrantów z Moskwy i Kijowa, a wśród nich Osterwa, Jaracz i jego młodszy brat, Józef Poremba, angażują się do teatru Polskiego. Narazie nie realizuje się nic z wielkich zapowiedzi. Wystawia się wprawdzie sztuki z t. zw. „wielkiego repertuaru“, ale kierunek teatru jest raczej merkantylny, niż artystyczny. Jaracz gra Reżysera w „Wyzwoleniu“, inscenizowanym przez Osterwę, a później Shyloka i z wielkim sukcesem po raz pierwszy w Warszawie „Szczęście Frania“. Po tym pierwszym sezonie Osterwa odchodzi, zabierając z sobą Porembę. Powstaje „Reduta“. Jaracz zostaje jeszcze przez dwa sezony u Szyfmana. Decydują o tem głównie względy natury ściśle osobistej.

W lipcu 1920 wstępuje do wojska i przydzielony zostaje do „człotówki artystycznej“. Z pracy teatralnej na froncie zachował Jaracz, jak i wielu z jego kolegów, najmiłsze wspomnienia. Przedstawienia odbywały się oczywiście w warunkach mniej, niż prymitywnych. Na zaimprovizowanej estradzie grano bez kostiumów, rekwizytów i dekoracji. Był to prawdziwy „teatr wyobraźni“. Publiczność jednak była cudowna i do głębi przejmowała się akcją, reagując niezwykle żywo na każdy ton i akcent. Trudno o bardziej wyrazisty obrazek:

Niewielką estradę „osłoniętą lichym daszkiem, otacza ze wszystkich stron zwarty tłum żołnierzy. Stoją pod gołym niebem, wpatrzni w aktorów. Nagle zaczyna padać ulewny deszcz. Nikt nie myśli o opuszczeniu „widowni“. Zlewani deszczem, przemoczeni do nitki, przerywają co chwila akcję rechotem zdrowego, żołnierskiego śmiechu...

Przyjazd do Warszawy Ryszarda Bolesławskiego, znakomitego aktora i reżysera z teatru Stanisławskiego w Moskwie, nie wywarł niestety większego wpływu na bieg warszawskiego życia teatralnego. Bolesławski po wystawieniu „Miłosierdzia“ (z Jaraczem w roli Włóczęgi), „Mieszczanina szlachcicem“ (również z Jaraczem w roli głównej), oraz sensacyjnej „Powodzi“ w teatrze Małym, zniechęcony warszawskimi stosunkami, opuszcza kraj.

Po trzech sezonach, spędzonych w teatrze Polskim, Jaracz w 1921 roku wstępuje do Reduty, która, rozpoczynając trzeci rok istnienia, uniezależnia się od teatrów miejskich.

Nareszcie otacza go wspaniała, artystyczna atmosfera pracy zespołowej i zbiorowego wysiłku. Młody, pełen obiecujących talentów zespół, stworzony przez Osterwę, pracuje z zapałem, odnosząc się z wiarą i entuzjazmem do swego kierownika i jego najbliższych współpracowników. Jaracz staje karnie do pracy zespołowej. Pierwszą jego rolą w Reducie jest „Kogut“ w „Czupurku“ Benedykta Herta. Jego zabawne, powtarzane na

różne tony i sposoby „ko-ko“ jedna mu sympatję dziecięcej widowni. W pierwszym roku pracy w Reducie gra Jaracz zastępuje jeszcze tylko dwie drobne role w „Pomście“ Orkana i „Ewie“ Szaniawskiego.

Wiele rzeczywistego pożytku przynosi mu w sezonie następnym eksperyment czystej formy teatralnej w „Dziwnej ulicy“ Czyżowskiego. Ćwiczenia najrozmaitszych środków aktorskich przydają mu się później bardzo przy opracowywaniu roli „Judasza“. Po „Judaszu“, który szedł 90 razy, odnosi jeszcze Jaracz sukces w „Turoniu“.

Doniosła artystycznie, twórcza praca Reduty doznaje wstrząsu po objęciu przez Osterwę dykcji teatru „Rozmaitości“. Jaracz idzie karnie za nim, choć wydaje mu się to katastrofalną omyłką. Zna dobrze nastroje w teatrach miejskich, niezmienione od czasów okupacji rosyjskiej. Nie wierzy, ażeby artystyczne plany Osterwy i jego zapał mogły znaleźć zrozumienie, czy spotkać się ze współdziałaniem zespołu aktorskiego. Wiedział dobrze, że najłżejsza nawet wzmianka o sprawach „sztuki“ spotyka się w garderobach i za kulisami teatru Rozmaitości z pełnym wzgardą lub conajmniej politowaniem uśmiechem. Nie wierzył, żeby Osterwa mógł przełamać swoim artystycznym entuzjazmem bierny opór niewzruszonej tradycji i rutyny. Wątpliwości są słuszne, smutne przewidywania nie zawodzą. Jaracz, angażując się do teatrów miejskich, wstępuje w najgorszy okres swego życia, który znaczy się degryngoladą moralną.

W grudniu 1923 roku ginie tragiczną śmiercią młodszy o dziesięć lat brat Jaracza — ś. p. Józef Poremba. Śmierć brata jest dla Jaracza głębokim wstrząsem. Jak sam mówi, był to moment największej doniosłości dramatycznej w jego życiu.

Jeśliby nazwać Porembę entuzjastą, byłoby to określenie mizerne i blade. Koledzy mówili o nim, jak o świętym teatru. Jeżeli można użyć tak częste nadużywanego i przez to fałszywie brzmiącego słowa: „kapłan“, to w odniesieniu do Poremby wydaje się ono najbardziej trafne i właściwe. Dziwny to był doprawdy chłopiec. Do dwunastego roku życia chował się dziko w rodzinnym Krzyżu. Nie chciał się uczyć i nie myślał o pójściu do gimnazjum. Jedyną pasją jego były skrzypce. Nauczył go grać słynny na całą okolicę muzykant wiejski, starszy o dziesięć lat, Jaś Barzyński. Grywał z nim razem na chłopskich weselach, zapraszany do najdalszych wsi w okolicy. Dopiero przyjazd Stefana po dłuższej nieobecności i poważna rozmowa z Józkiem stały się przełomem w tem życiu. Stefan był dla rodzeństwa autorytetem. Józek wysłuchał jego słów z przejęciem. Od tej chwili wziął rozbrot z muzykanctwem i zabrał się do nauki. Dwunastoletni chłopczyna poszedł sam do Tarnowa i zdał do gimnazjum. Dotarł wytrwale do matury. Przez cały czas pilnie śledził losy starszego brata. Teatr był dla niego pojęciem czegoś wyższego i skończenie pięknego. Po maturze w 1914 roku przyjechał z wizytą do Stefana do Warszawy. Tutaj zastaje go wybuch wojny. Maturzystę z Galicji wysyłają władze rosyjskie do Taszkientu. Dopiero w 1915 r. udaje się Jaraczowi sprowadzić go do Moskwy. Poremba wstępuje do Kijowskiego teatru, a potem wraz z bratem i Osterwą wraca do Warszawy. Jest jednym z pierwszych i jednym

z najbardziej żarliwych „redutowców“. Walka o nowy teatr, to dla niego sprawa o treści najgłębszej. Reduta ma być tej walki ostoją. Praca w teatrze pochłania go bez reszty. Na scenie nie gra, ale żyje życiem najbardziej intensywnym. Można go było porównać do napiętej do ostatnich granic struny, wibrującej pod najlżejszym dotknięciem. Bezkompromisowy fanatyk Reduty przeżył bardzo ciężko odejście Osterwy do „Rozmaitości“. Gdy sam znalazł się na scenie tego teatru, niedopasowany zupełnie do obowiązujących tam metod, wykołębził się. W roli „Lotnika“ w „Rycerzu Powietrza“ był postacią z innego wymiaru. Wyraźnie raził. Ciężkim zmaganiem wewnętrznym towarzyszyły postępy groźnej choroby. Choroba ta niszczyła poczucie przestrzeni. Nieraz w ostatniej chwili ratowano go przed wypadnięciem z okna. Zginął, spadłszy z dachu pięciopiętrowej kamienicy, w której mieszkał.

Po pierwszym bezbarwnym sezonie w „Rozmaitościach“, mieszczących się po pożarze w gmachu „Nowości“ na Daniłowiczowskiej, następuje otwarcie teatru Narodowego. Ten sezon dyrekcji Osterwy jest pod względem wyników artystycznych bardziej udany. Po sukcesie „Don Juana“ Zorrilli, wystawia teatr Narodowy sztukę Żeromskiego „Uciekla mi przepióreczka“. Jaracz gra Smugonia. Sukces aktorski nie osłabia jednak wzmagających się wątpliwości i rodzącego się protestu przeciwko marazmowi sytuacji teatralnej, w której żyć i pracować musi. Jaracz widzi dokładnie, że pełne dobrej chęci, a nawet zapалу wysiłki Osterwy pobudzenia zespołu do wspólnej pracy artystycznej nie odnoszą rezultatu. Silnie ze sobą zwarty zespół ani drgnął.

Najbardziej ulubionym powszechnym tematem rozmów za kulisami w garderobach są w dalszym ciągu wyścigi, karty i sprawy kulinarne. Jedyny „artystyczny“ temat poruszany po każdej premierze, — to recenzje w dziennikach. Jaracz dochodzi do takiego rozstroju nerwowego, że często, przyszedłszy na próbę, po pięciu minutach ucieka z teatru.

W tym roku po raz pierwszy nie przychodzi na spektakl. Rolę Smugonia w „Przepióreczce“ czyta z egzemplarza sufler. Ze słów Jaracza o tym wypadku wynika, że chciał zerwać spektakl z całym rozmysłem. Wyszedł z domu około szóstej zupełnie trzeźwy, był po jakimś świeżem przejściu wysoce rozdrażniony. Jak często w ostatnich czasach, począł rozmyślać nad tem, co go czeka, co może wyniknąć z obecnej, beznadziejnej sytuacji. Chciał w jakiś sposób zaprotestować, choćby rzucić kamieniem w martwą taflę stawu, jakim mu się wydawał ten zrutynizowany teatr. Niech to będzie cokolwiek, ażeby tylko wreszcie coś się stało. Z całym rozmysłem poszedł pieć. Silnie podsekcytowany alkoholem zamiast na spektakl do teatru, poszedł na przedstawienie do Cyrku...

Po Osterwie dyrektorem teatru Narodowego zostaje Kazimierz Kamiński. Jego stosunek do Jaracza, dawniej bardzo niechętny, zmienił się gruntownie. Kamiński, który był entuzjastą dobrej roboty aktorskiej, przyszedł kiedyś do Jaracza po przedstawieniu „Szczęścia Frania“, mówiąc:

— Winszuję panu. Tak zagranej roli bardzo dawno w Polsce nie widziałem.

Od tego czasu stosunek między nimi stawał się coraz bardziej przyjacielski. Jaracz niezmiennie żywił kult dla tego wielkiego aktora - naturalisty, mistrza formy, genialnego cyzelatora drobiazgów, ojca wyrafinowanego niuansu.

Dyrekcja Kamińskiego nie zaznaczyła się jednak w Narodowym niczem wybitnym. Wielki aktor był już wyczerpany i chory. „Faust“ z Jaraczem w roli Mefista nie był spektaklem udanym.

Czwarty sezon w miejskich teatrach, pod dyrekcją Lorentowicza, jest zarazem ostatnim rokiem stałej pracy Jaracza w starym teatrze. Gra w tym sezonie, tak dopasowaną wówczas rolę, wykołębionego inteligenta. Siewski w „Uśmiechu losu“ Perzyńskiego staje się postacią prawdziwą i żywą.

Latem 1927 roku rozpoczyna Jaracz samodzielne życie teatralne objazdem na czele własnego zespołu z komedią Perzyńskiego „Szczęście Frania“. Potem jeździ znów z „Samsonem i Dalilą“. Po występach gościnnych na scenie teatru Narodowego z końcem lata 1928 roku, dr. Władysław Zawistowski namawia Jaracza, żeby objął kierownictwo teatru Nowego. Jaraczowi odpowiada ten projekt i podejmuje ten projekt z ówczesnym dyrektorem teatrów miejskich, Arturem Sliwińskim. Ze strony dyrekcji niema przeszkód, gdy dochodzi jednak do omawiania spraw zespołu, wszystko się rozbija. Jaracz nie chce się zgodzić na korzystanie z gotowego zespołu teatrów miejskich, wychodząc ze słusznego założenia, że kierownik — to zespół.

Po tej pierwszej nieudanej próbie stworzenia własnego teatru w Warszawie, wyjeżdża w końcu 1928 roku na pięć miesięcy do Wilna. W „Reducie“ styka się po raz pierwszy z młodą reżyserką i aktorką, Stanisławą Perzanowską. Jaracz widzi w niej po Osterwie jedyne go reżysera o nowoczesnym stosunku do aktora. Myśli, że chciałby z nią pracować, gdyby miał własny teatr.

Latem 1929 roku znów wraca do Warszawy. Wraz z Hemarem przygotowuje przeróbkę „Artystów“ w teatrze Polskim. W roli Skida gra właściwie samego siebie i odnosi niezapomniany triumf aktorski i kasowy. Po trzymiesięcznych występach w Warszawie wyjeżdża do Krakowa. Tam znów gra Skida, a później wraz z Zygmuntem Chmielewskim opracowuje sceniczną przeróbkę „Szwejkę“. W czasie gościnnych występów w teatrze Polskim latem 1930 roku organizuje swój pierwszy teatr w Ateneum. Do organizacji własnego teatru przystępuje z kapitałem 25.000 złotych, które zarobił w ciągu ostatnich 3 lat podróży aktorskich po kraju.

OD REDAKCJI: Z powodu Jubileuszu Stefana Jaracza i druku rozdziału z monografii Wł. Marta o Jaraczu, nie mogliśmy zamieścić dalszego ciągu powieści Edwarda Eštaunié pt. „Głos z za świąta“. Następny numer naszego dodatku zawierać będzie podwójną liczbę zwykłej ilości stron powieści Eštauniégo.